

Następny tydzień był fatalny.

Rodzice żądali, żebym po południu wracała punktualnie do domu, ale tego nie robiłam.

Żądali, żebym codziennie, co najmniej pół godziny, ćwiczyła grę na skrzypcach, ale to polecenie również zignorowałam.

Zabronili mi spotykać się z Malte, a mimo to go widywałam.

Krzyczeli na mnie, a ja odpowiadałam krzykiem.

Pewnego dnia Paula przyprowadziła ze sobą Leona, ale zamknęłam się w swoim pokoju.

– Twój ojciec zabronił mi się widywać z tobą poza szkołą – wyznał podczas jednej z przerw Malte.

Spojrzałam na niego, próbując przypomnieć sobie nasz pierwszy raz. Zdołałam przywołać w pamięci aurę świętości, jaka mnie wtedy otaczała, muzykę, głaskanie wewnątrz gło-

wy, śnieg za oknem, a przede wszystkim poczucie bezmiernego szczęścia, ale nie to, co razem robiliśmy.

Jednakże nie śmiałam mu tego powiedzieć. Lilli też o niczym nie wspomniałam. Ani o tej historii, ani o kwasie.

Zaczęłam palić fajki. W końcu paliłam już przecież haszysz.

– Śmierdzisz papierosami – zauważyła pewnego razu mama.
– Palisz?

– Nie – odpowiedziałam stanowczo, spoglądając na nią.

W piątek, po raz pierwszy od dłuższego czasu zagadnęła mnie Franka.

– Marie, słyszałam, że Samir jest rzekomo wplątany w handel narkotykami – stwierdziła. – I parę innych osób również...

Zmarszczyłam czoło.

– A dlaczego mi to mówisz? – spytałam, pakując książki do plecaka.

– Ponieważ teraz zadajesz się tylko z Samirem, Lilli i Malte – odpowiedziała ostrożnie, przeciągając dłonią po swoich cudownych blond włosach.

Raptem uświadomiłam sobie, jak długo byliśmy przyjaciółkami i ile lat trwała już ta przyjaźń.

– Ach, bzdury – odparłam krótko.

– Na pewno pamiętasz tę dziewczynę ze starszej klasy – drażyła, idąc obok mnie szkolnym korytarzem. – Tę o brązowych lokach, która w ubiegłym roku zawiozła nas na szaloną imprezę bożonarodzeniową. Siostrę tego kolesia z zielonymi...

– Masz na myśli Amai? Siostrę Benjamina? – przerwałam jej w pół słowa i przystanęłam. – Co z nią?

– Słyszałam o tym od Friederike – oświadczyła.

Na dźwięk tego imienia zmarszczyłam czoło, ale nie odezwałam się słowem.

– Friederike i ta Amai mają wspólną nauczycielkę gry na wiolonczeli i właśnie ona powiedziała Friederike, że Amai już od dłuższego czasu przebywa w klinice psychiatrycznej.

Oniemiała wbiłam wzrok we Frankę.

– Ponoć miała problemy z narkotykami – ciągnęła dalej. – I po jakiejś imprezie zupełnie się załamała. Próbowwała popełnić samobójstwo. Marie, martwię się o ciebie.

Nie wierzyłam w to. Po prostu nie wierzyłam.

– Co za bzdura! – wymamrotałam.

– Zapytaj jej brata! – zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim uciekłam.

*

Ale nie zasięgnęłam już informacji na temat Amai. Po prostu wyleciało mi to z głowy. Ostatnio zapominałam o wielu sprawach: o odrabianiu zadań domowych, o wyprowadzaniu Mister Allena na spacer, o próbach orkiestry, o lekcjach gry na skrzypcach i swojej przyjaźni z Lilli.

– Co się dzieje, Marie? – spytała Lilli.

– Nic – odparłam, wzruszając ramionami.

– Co się dzieje, Marie? – zapytał Leon.

– Daj mi spokój – burknęłam i poszłam sobie dalej.

– Co się dzieje, Marie? – zainteresował się nasz wychowawca.

– A co ma być? – odpowiedziałam bezczelnie.

W dniu, kiedy miałam dostać okres, krwawienie nie nastąpiło. Nie było go następnego dnia ani dwa dni później. Próbo wałam zachować spokój.

„Z całą pewnością nie jestem w ciąży! Na pewno nie! Na sto procent!

A jeśli jednak? Jeśli już się stało? Tamtego białego, promieniącego szczęściem popołudnia, w pokoju Malte, na jego łóżku? Gdy śnieg tańczył za oknem? A jeśli noszę w brzuchu dziecko Malte?”

Tak bardzo chciałam z nim o tym porozmawiać – o tym, że prawdopodobnie jestem w ciąży, ale zabrakło mi odwagi.

– Dlaczego wciąż tak dziwnie na mnie patrzysz? – spytał pewnego razu Malte na szkolnym podwórzu.

– Ja... – zaczęłam, wsłuchując się we własne ciało, w którym zapewne nosiłam już nasze dziecko, ale ostatecznie dałam za wygraną.

Milczałam aż do następnej wizyty u niego. Znowu oprócz nas w mieszkaniu nie było nikogo. Właściwie powinnam akurat mieć lekcję gry na skrzypcach, ale zadzwoniłam do mojej nauczycielki, mówiąc, że źle się czuję.

– Dlaczego tak często jesteś sam? – zapytałam Malte.

Właśnie połknęliśmy kolejny kwadrat i z bijącym sercem czekałam, aż zacznie działać. Od dawna cieszyłam się na tę chwilę.

– Mój ojciec pracuje – odpowiedział krótko, głaszcząc moje krótkie włosy.

– Zawsze? – spytałam zdziwiona.

– Tak, zawsze – odparł. – Jest stukniętym, obrzydliwym, bogatym pracoholikiem. Jeśli nie może pracować, wpada w depresję.

– A twoja mama?

– Düsseldorf – rzucił, wzruszając ramionami.

– Düsseldorf? Co masz na myśli? – zapytałam.

– Mieszka tam. W Düsseldorfie. Ze swoim facetem i małym dzieckiem.

– Twoi rodzice są rozwiedzeni?

Malte skinął głową.

– A koleś, z którym teraz żyje jest zaledwie dziesięć lat starszy ode mnie. Nieźle gówno, co nie?

Milcząc, oparłam się o ścianę za łóżkiem. Poczułam, jak nadchodzi faza. Zaczęło się...

– Za dwa tygodnie mam urodziny – oznajmiłam w pewnej chwili.

Malte nie odpowiedział, zbliżył się tylko do mnie i położył swoją głowę na moim łonie.

– Moja mama ma na imię Lisa – wyszeptał i zaczął cichutko płakać.

Głaskałam go po mokrej twarzy, płacząc razem z nim, chociaż wcale nie było mi smutno, wręcz przeciwnie, czułam się radosna i szczęśliwa.

– Chyba jestem w ciąży – oświadczyłam.

Znowu nie odpowiedział. Poczułam tylko ucisk jego ciepłych rąk na swoim brzuchu. To było cudowne.

Otuliło mnie światło i ciepło. Ostrożnie uwolniłam się z objęć Malte i położyłam tuż obok niego. Przypominał anioła, leżał płasko na plecach, z zamkniętymi oczyma i bladą twarzą. Wcale nie był *cool* i męski, jak wtedy, kiedy go poznałam, wy-

glądał raczej jak niemowlę. Cichutko zaczęłam nucić dla niego piosenkę.

– Jeśli naprawdę jesteś w ciąży, to musisz ją usunąć – stwierdził nagle, brutalnie niszcząc moje szczęście. – Moja mama już dwa razy usuwała i nie stresuje się z tego powodu...

Drgnęłam i usiadłam na łóżku. Zaczęło mi się kręcić w głowie i nie mogłam złapać powietrza.

– Co? – zapytałam, ale Malte leżał nieporuszony i wyglądał, jakby spał.

– Co powiedziałaś? – powtórzyłam, czując, jak kołowacieje mi język.

Miałam wrażenie, że jestem z ołowiu, naraz moje nogi i ręce zrobiły się ciężkie jak kamień. Z trudem zachowując równowagę, wstałam.

– Malte! – krzyknęłam, ale on nie odpowiadał.

Po prostu skulił się na swoim łóżku i leżał w bezruchu. Czulałam, jak chwyta mnie ból brzucha. Moje podbrzusze zaczął trawić ogień. Towarzyszyło temu dziwne uczucie, jakby ktoś umierał. Kto to mógł być? Ja? Malte? A może moje dziecko?

Potykaçąc się, opuściłam śnieżnobiały pokój, a potem długim korytarzem dotarłam do drzwi wyjściowych.

– Nie umieraj! – wyszeptalam, głaszcząc rozpalone podbrzusze. – Nie umieraj, proszę!

Z trudem przemierzyłam klatkę schodową. Poręcz świeciła i wiła się pod moimi palcami, a ból narastał.

– Pomocy... – usłyszałam czyjś szept i stwierdziłam, że musiał należeć do mnie.

Znalazłszy się na dole, wyszłam na ulicę. Właśnie zaczęło zmierzchać, a wiewjący wiatr przygnał ze sobą zapach nadchodzącej wiosny. Świeże powietrze dobrze mi zrobiło, nagle odniosłam wrażenie, że już dochodzę do siebie. Jednakże wciąż bolał mnie brzuch. Ostrożnie ruszyłam wzdłuż ulicy. Drzewa rosnące na skraju drogi były jeszcze zupełnie nagie, a wiatr wprawiał w ruch bezlistne gałęzie.

„A może to wcale nie są drzewa tylko żywe istoty?”

Gałęzie zaczęły wyciągać się ku mnie i coraz bardziej wydłużać. Chciały mnie pochwycić. Pospiesznie zrobiłam unik

i wtedy zobaczyłam, że na pniach wyrosły oczy: okrągłe, niebieskie oczy.

Drzewce wybałuszały swoje ślepie, a kiedy ustąpiłam na bok, powiodły za mną błyszczącym wzrokiem. Obróciłam się na pięcie i pędem ruszyłam przed siebie. Pędziłam tak na oślep, aż zupełnie opadłam z sił. Przystanąłam zakłopotana, nie wiedząc, dokąd mam iść i jak znaleźć przystanek autobusowy. Dotarłam do jakiegoś skrzyżowania i z trudem zatrzymałam się.

„Przecież już tu kiedyś byłam? Ale kiedy?”

W pobliżu znajdowało się pewne miejsce, które znałam. Z żywopłotem, kwiatami i cichymi alejkami. Zaczęłam przechodzić przez ulicę i nagle ogarnęło mnie straszliwe uczucie: miałam wrażenie, że idąc, zapadam się, jakbym wkraczała w głęboki wąwóz. Na końcu ulicy droga wznosiła się pionowo w górę i, dysząc, wlałam na wysoki krawężnik. Wreszcie byłam po drugiej stronie!

Zrozpaczona ruszyłam dalej chwiejnym krokiem.

– Co jest tej dziewczynce? – dobiegł mnie z daleka dziecięcy głos.

Przystanąłam.

– Dobrze się czujesz? – zapytała jakaś kobieta, chwytając mnie za rękę. – Mogę ci pomóc?

Potrząsnęłam głową, nie potrafiąc dobyć z siebie słowa. Miałam wrażenie, że język spuchł mi w ustach. Tak szybko, jak tylko mogłam, pobiegłam dalej. Ale drogę zagrodziła mi kolejna ulica. I ponownie zaczęłam zapadać się w dół, w głębokiej, grząskiej ziemi.

– Pomocy – szeptałam raz po raz.

Mój język napęczniał i zaczął przywierać do podniebienia. Nie mogłam powstrzymać kaszlu i łez. Poza tym zalewał mnie pot. Na końcu jezdni znowu wznosiła się stromo do góry. Opadłam z sił.

„Czy zupełnie ugrzęznię?”

Nagle przypomniałam sobie o babci.

– Babciu... – jęknęłam cichutko.

I wtedy ona przyszła mi z pomocą. Zdołałam przejść na drugą stronę.

„Szłam i szłam bez końca, a babcia pomagała mi przechodzić przez kolejne ulice, wiodąc mnie do jakiegoś miejsca. Do kwiatów i cichych alejek za zielonym żywopłotem. Biegłam teraz sztywno jak robot, a potem po prostu przycupnęłam na zwirowej ścieżce. Było tu coś, co znałam. Marmur, trochę ziemi przypominającej klomb, ale przykrytej gałązkami świerku. Gdzie jestem?

– Babciu? – szepnęłam zmęczona.

W mojej głowie wszystko wirowało. Gdzie się podział Malte? Usłyszałam jakiś szelest i podniosłam głowę. Coś zatrzeszczało. I nagle ujrzałam babcię. Stała przede mną ubrana w swój płaszcz, a w rękach miała stare torby z zakupami.

– Nie jestem martwa – zachnęła się rozgniewana. – I nigdy nie byłam. Dlaczego kazaliście mnie pogrzebać? Sama dziś wydostałam się z piachu i wracam teraz do domu. Ponieważ moje torby z zakupami, Marie! Proszę! Bo jeśli ja je wezmę, to niestety umrę...

Babcia uśmiechnęła się do mnie, tak jak tysiące razy wcześniej. Był to najukochańszy uśmiech, jakim mnie kiedykolwiek obdarzono. Strasznie mi go brakowało. Nagle jej twarz zastygła w dziwnym grymasie i zmieniła się nie do poznania: oczy wylazły na wierzch i, przybrawszy postać niebieskiej kuli, wbiły się we mnie tępo”.

Usłyszałam swoje łkanie, było bardzo cichutkie, ale nieustające i tym razem już nikt nie przyszedł mi z pomocą. Tymczasem zapadł zmrok, a ja nie mogłam zrobić ani kroku. Bezczałam tak, siedząc w kucki i wodząc wzrokiem po rosnących wokół drzewach, które wlepiały we mnie swoje ślepie. Babcia zniknęła.

Nagle pojęłam, gdzie jestem. Byłam na cmentarzu, przy grobie mojej zmarłej babci. Ostrożnie wstałam i przesunęłam ręką po włosach. Potem obróciłam się na pięcie i opuściłam to miejsce.

Na wyświetlaczu komórki widniało siedem nieodebranych połączeń.

„Dom”.

„Dom”.

„Dom”.

„Dom”.

„Malte”.

„Malte”.

„Dom”.

Niechętnie wybrałam nasz domowy numer.

– Marie? – krzyknęła mama, ledwo połączenie doszło do skutku.

– Tak...?

– Gdzie jesteś?

– Na mieście – odparłam.

– Dzwoniłam do Malte i powiedział mi, że po prostu uciekłaś!

– Chciałam być sama, mamó – wykrztusiłam z trudem.

Mówienie sprawiało mi problem. Czułam się zmęczona i skołowana. Zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć wizyty u Malte. Byłam na niego wściekła. Wściekła i rozczarowana. Czułam ból. Ale teraz już nic mnie nie bolało, wyjąwszy tępe pulsowanie w skroniach.

– Wracaj do domu, Marie – poprosiła mama.

– Dobrze – odparłam, wyłączając komórkę i ruszyłam w drogę powrotną.

*

Dziwne uczucie w głowie i ciele nie ustąpiło. Ledwie powłóczyłam nogami. Przechodzenie przez ulicę wciąż sprawiało mi problem, nadal zbyt łatwo zapadałam się w dół i musiałam zadać sobie nie lada trud, żeby dotrzeć na drugą stronę jezdni.

W końcu stanęłam przed domem. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

– Marie, co się stało? – spytała mama, obejmując dłońmi moją twarz. – Jesteś blada jak ściana. I płakałaś. Co z twoimi oczami?

Rozjuszona wyrwałam się z jej rąk.

– Nic – uciełam, tocząc wzrokiem. – Jest tata w domu?

Mama potrząsnęła głową.

Odetchnęłam z ulgą.

– Musimy ze sobą porozmawiać – stwierdziła, tym razem chwytając mnie za rękę.

Wyrwałam się jej i ruszyłam do kuchni.

– Jestem głodna – wymruczałam pod nosem.

Mama skinęła głową.

– Są naleśniki. A może masz ochotę na spaghetti?

Zignorowałam jej pytanie i wyciągnęłam ze spizarki nową paczkę płatków kukurydzianych. Musiałam natychmiast coś zjeść. Z szafki kuchennej wyjęłam wielką, drewnianą salaterkę i pospiesznie wsypałam do niej całą zawartość torebki. Później wzięłam litr mleka i wylałam go na górę płatków. Mama przez cały czas bacznie mnie obserwowała. Ale w tej chwili było mi to zupełnie obojętne. Z miską w dłoni przycisnęłam się obok niej, weszłam do salonu, usiadłam na podłodze i włączyłam telewizor. Potem jadłam, jadłam i jadłam, aż w końcu zmorzył mnie sen. Pamiętam jeszcze, jak zaczęły mi się kleić oczy, wiedziałam, że leżę na dywanie z twarzą przy drewnianej salaterce i było mi głupio z tego powodu, ale nie mogłam nic na to poradzić.

Haszysz.

Do tego się przyznałam.

– A zatem paliłaś haszysz? – zapytał mnie ojciec.

Rada nierada skinęłam głową.

– Jak długo to już trwa? – odezwała się mama.

Był środek nocy i wszyscy zebraliśmy się w moim pokoju. Tylko Mister Allen chrapał cichutko, leżąc, jak zawsze, na dywanie.

Siedziałam na łóżku.

Mama przycupnęła na jego krawędzi, a ojciec stał przy oknie.

Przyszli tu, ponieważ zerwałam się z krzykiem na ustach. Nie w salonie, przed telewizorem, ale w środku nocy we własnym łóżku. To z powodu drzew, drzewców z wybałuszonymi, błyszczącymi, niebieskimi ślepiami, które były wszędzie.

– Marie, odpowiedz – rozkazał ojciec. – Jak długo to już trwa?

– Zapaliłam raz, może dwa – wymamrotałam rozdrażniona.

– Z Malte Heimannem? – drażył.

Podniosłam głowę.

– Tylko nie róbcie z tego żadnej tragedii – rzuciłam. – Przecież prawie wszyscy palą hasz.

Słyszałam, jak ciężko oddycha, starając się opanować.

– Wiesz, co się stało z Amai Sommer? – zapytał po dłuższej chwili, z trudem próbując zapanować również nad głosem.

Milczałam.

– Usiłowała popełnić samobójstwo. Wzięła na jakiejś imprezie ecstasy, które ktoś wymieszał z LSD. Potem po prostu poszła do domu, zamknęła się w swoim pokoju i próbowała nożem podciąć sobie żyły...

Na te słowa po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

– Nie wiem, skąd pochodzą te narkotyki, ale faktem jest, że są rozprowadzane także w naszej szkole – ciągnął dalej przybity.

Natychmiast pomyślałam o Samirze i Jakobie. Próbowałam w głowie zliczyć wszystkie pigułki, które połknęłam od ostatniego lata. Musiało ich być ponad sto...

„Skąd Samir i Jakob mieli towar, który nam sprzedawali?”

– To brutalny, bezduszny biznes – stwierdził ojciec. – Dealerzy wpędzają nieświadomą młodzież w nałóg, żeby potem była zdana na ich łaskę.

– Obiecuj nam, że z tym skończysz – poprosiła mama. – Haszysz to też narkotyk. A od niego właśnie często się zaczyna.

– Tak – powiedziałam cicho.

– Sama wiesz, jak się czułaś dziś w nocy, kiedy zasnął w salonie.

– Tak – powtórzyłam.

Potem zostawili mnie w spokoju.

Przez chwilę żałowałam, że nie opowiedziałam im o niebieskookich drzewcach i wizycie na cmentarzu. Chętnie wyrzuciłabym wszystko z siebie, ale to przecież niemożliwe. Zrobiliby z tego istną tragedię.